

Księga wyjścia – 24

16 sierpnia 2019

Ballada o Kaszmirze i królestwie Kabuto

Moje obawy okazały się płonne, od kiedy przyjechał do mnie syn wcale nie spędzamy czasu przy monitorze, lecz wiecznie gdzieś się przemieszczamy tocząc bardzo ciekawe rozmowy.



Wakacje to taki okres, podczas którego zjechali się obaj synowie. Starszy po ukończeniu uniwersytetu w Londynie postanowił kontynuować naukę na studiach podyplomowych w Chinach, przyjechał na wakacje. Mieszka niedaleko, więc widzimy się często, młodszy przyjechał do mnie z Bydgoszczy, a ponieważ ma niecałe czternaście lat obawiałem się, że jedyna godna jego uwagi atrakcja to komputer i gry. Okazało się na szczęście nie.

Już drugiego dnia pojechaliśmy do Janowca, jest tam fantastyczny zamek wraz z całym kompleksem parkowym, w którym znajduje się również skansen. Sam zamek ma bardzo ciekawą historię, poza tym, że kręcono w nim ostatnią scenę z

Wokulskim – to niby tam się wysadził.

To jest to jedyny w Polsce zamek, który w PRL był w prywatnych rękach. Właściciel jednak nigdy nie robił kłopotu zwiedzającym, nawet nie pobierał żadnych opłat. Kozłowski, tak miał na nazwisko, zmarł w 1976 roku, potem chyba ów zabytek zasilił skarb państwa. Częściowo odbudowany, częściowo pozostawiony jako wieczna ruina.

Po złożeniu zamku i okolic, chciałem pokazać Maciusiowi okoliczne góry. Nie są to wprawdzie ambitne szczyty na miarę Tatr, ale to właśnie tam uczyłem się wspinaczki i ona zaszczerpiły mi miłość do gór. Śmiało ruszyłem więc prowadząc dziecko w miejsca znane mi z młodości, a tam wszędzie ogrodzenia. Chodziliśmy wzdłuż stoku szukając jakiegoś nieogrodzonego miejsca, gdy wreszcie udało się takowe znaleźć, z namiotu wyskoczył w majtkach jakiś starszy jegomość i z awanturą zaczął na przepędzać z jak to ujął – jego prywatnej posesji. Ze względu na dziecko starałem się być miły.

Niezrażeni agresją chama, ruszyliśmy dalej szukać wolnej przestrzeni, ale jedyne co udało się znaleźć to zarośnięte kolczastymi krzakami chaszczki i krzaki. Podjęliśmy próbę przejścia i przedostania się w mniej kłujące miejsce, traktując tę naturalną barierę jako zło konieczne. Niestety, podrapani wróciliśmy w końcu na janowiecki rynek, by zjeść obiad i wrócić do domu. Podczas obiadu opowiadałem jak było tu niegdyś, że można było dowolnie chodzić, łązić, wspinać się i nikomu to nie przeszkadzało. Wtedy Maciek mnie zaskoczył, zapytał czy wiem coś o mikronacjach i że jest w Polsce inne państwo.

Wiedziałem o angielskiej rodzinie, która zasiedliła opuszczoną platformę na wodach eksterytorialnych i utworzyła tam własne państwo o nazwie Sealand. Anglicy usiłowali ich stamtąd przepędzić wysyłając swoje wojska, ale rodzina odwołała się do instytucji międzynarodowych i wygrała. Opowiadałem o rozgłoszeniach radiowych i filmie „Radio na fali”, gdy w latach

sześćdziesiątych muzyka rockowa była na wyspach ściśle reglamentowana, wiele rozgłośni radiowych nadawało z wód eksterytorialnych na morzach i oceanie. Wtedy syn zaskoczył mnie po raz kolejny, okazało się, że w Polsce również są niepodległe państwa, zwłaszcza jedno jest bardzo osobliwe. Królestwo Kabuto znajduje się pod Radomiem, flagę mają podobną do brazylijskiej, nie obowiązuje tam ani podatek VAT, ani dochodowy. Języki urzędowe to polski i angielski, jest monarchią i obecnie stara się o uznanie przez NATO.

Tak naprawdę jest to kawałek łąki, który teoretycznie ma już wielu mieszkańców, a na pewno obywateli. Władcą jest sprytny Mieszko Makowski, a sama idea jest sprzeciwem sytuacji w kraju. Twórca tego państewka, wcześniej handlował działkami w niebie, piekle i w czyścicu – z zaznaczeniem, że ma oferty dla każdego wyznania. Ewidentnie facet zakpił sobie z religii i polskiego etosu, który formą przewyższa treść. Kabuto dysponuje również terenami, a raczej obszarem wodnym obok Kanady i jakąś działką w Chorwacji. Nie obowiązuje tam żadna religia, a prawo zostało spisane ręką władcy, który jedynie tam administruje.

O ile Królestwo Kabuto jest bardzo barwnym i ciekawym przedsięwzięciem, to okazało się, że takich państewek na terenie Polski jest więcej. Wystarczy być sprytnym i znać przepisy. Miłośnikom wielkiej Polski mogą się teraz głośno zaśmiać w twarz. Legalizacja państwa Kabuto przebiegła zupełnie przypadkowo. Makowski dostał wezwanie na najbliższą komendę. Gdy otworzył kopertę zobaczył urzędowe pismo, opatrzone godłem i pieczęciami z następującą treścią: „wzywa się pana Mieszko Makowskiego zamieszkałego, legitymującego się dowodem osobistym o numerze, w celu złożenia wyjaśnień w sprawie założenia Państwa Kabuto”. Okazało się, że ten niepozorny dokument wystarczył do potwierdzenia, że państwo polskie uznało Kabuto jako osobny, suwerenny kraj.

Łatwiej założyć w Polsce własne państwo niż uzyskać status mniejszości etnicznej. Konkluzja smutna, ale prawdziwa.

Wszystko to za sprawą konwencji z Montevideo z 1933 roku. Zgodnie z jej ustaleniami państwo powinno mieć suwerenną władzę, określone terytorium oddzielone granicą i zdolność wchodzenia w stosunki międzynarodowe. Technicznie wygląda to tak, że wystarczy znaleźć kawałek nienależącego do nikogo gruntu, zatknąć flagę i ogłosić nowym państwem.

O ile Mieszko Makowski kupił w Polsce kawałek łąki, to terytorium morskie w Kanadzie i działkę w Chorwacji znalazł przez internet. Obywateli ciągle przybywa i choć nie jest możliwe by pomieścili się oni na tym kawałku łąki, to po rozpatrzeniu przez rząd obywatelstwo dostają lub nie. Korzystają z tego przedsiębiorcy, po pierwsze nie ma tam podatków, ani żadnych urzędów, okienek i pań z którymi trzeba rozmawiać, wszystko można załatwić wirtualnie. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce mikronacje w Polsce, a wyskoczy ich kilkanaście, (dla fanatyków kilka ultrakatolickich). Jest to niezły pomysł na życie, by odciąć się od wpływów kościoła katolickiego. Zamiast walczyć w pochodach czy wiecach z idiotami nafaszerowanymi kultem wojny, którzy z bogiem na ustach wzywają do nienawiści, nazywając ludzi zarazą, utworzyć własne państwo i odrodzić się od nich granicą, a gdy taki Jędraszewski znowu coś palnie, wezwać ambasadora Polski na dywanik.

Do tego potrzebna jest determinacja, ale jeśli nie możemy pokonać ich w sposób demokratyczny, bo ten system coś szwankuje, to może zrobić zrzutkę i wykupić część kraju, a resztą niech się zajmą wszyscy, którzy tak bardzo kochają bliźniego, że aż nienawidzą jego poglądów. Można zostawić im Częstochowę, krowę, kaczkę, drób i drogę na łagiewniki. Inaczej nigdy nie dadzą nam żyć. Pomysł wydał mi się bardzo fajny, ale jedynie w teorii, bo w praktyce biurokratycznie jestem jak dziecko we mgle.

Dopiero kilka dni temu dowiedziałem się, że jeśli moje książki są w bibliotekach, to raz w roku powinienem dostać jakieś pieniądze. Wydana osiemnaście lat temu „Humanitarna wojna”,

jest w wielu bibliotekach, także uniwersyteckich, problem polega jedynie na tym, że muszę się gdzieś zarejestrować. Dotychczas nie miałem o tym pojęcia. Podczas pobytu synów, a zwłaszcza młodszego, który w tym czasie zamieszkał u mnie, znacznie mniej pasjonuję się krajową polityką. Fakt, że mieszka w Bydgoszczy i rzadko się widzimy, więc wszystko inne zeszło na dalszy plan, ale też naszała mnie refleksja, czy przypadkiem ten tzw „ciemny lud” jak to określił był niegdyś prezes TVP, pasjonuje się tą polityką z nudów? To grupa zgorzkniałych emerytów lub żądnych zadymy kiboli, którym wmówiono, że wojna to cześć, honor i chwała dlatego popieprzają ulicami miast bijąc każdego, kto ma na sobie ubranie w kolorach tęczy. Wniosek jest taki, że od kiedy Maciuś jest u mnie politykę mam głęboko w nosie. Jeśli już, to rozmawiamy o Kaszmirze, ale gdy zejdziemy się we trzech.

Starszy syn nakręcił film o tym zakątku i konflikcie z Indiami. Potrafi o tym opowiadać, a młodszy z zaciekawieniem słucha. Podobnie jak interesują go bardzo Chiny, jeśli polityka, to międzynarodowa. Krajową mamy w nosie, oprócz Królestwa Kabuto oczywiście. Jeśli naprawdę mamy dość rządów ostatnich trzydziestu lat, to nic tylko założyć własne państwo, na własnych zasadach.

I teraz najważniejsza konkluzja, czy naprawdę musiało minąć ponad sto lat, by zacząć wcielać idee Bakunina? Ostatnie wydarzenia na terenach Kaszmiru stały się pretekstem, by ponownie opowiedzieć historię tego regionu. Za zgodą autora filmu, czyli mojego syna, podaję adres internetowy, pod którym można obejrzeć ten film pt: „Kamienie przeciw karabinom”.



Na dzisiaj wystarczy, musimy z Maciusiem iść odkrywać kolejne dzikie zakątki z mojej młodości. Mam nadzieję, że jeszcze nie wszystkie wykupili deweloperzy.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info